

Premiera w Dramatycznym

„Gałązkę rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego przypomnieli widzom w ostatnim czasie kilka polskich teatrów. Do wyreżyserowania pomysłów krakowskiego literata na scenie Teatru Dramatycznego w Białymstoku wzięli się dwaj panowie — Jerzy Hutek i Andrzej Jakimiec, posiłkując się Dagny Rose w roli asystentki.

MATERIAŁU jest rzeczywiście sporo, bo Nowakowski znał teatr od kulis i samą publiczność (grywał, reżyserował, wreszcie dyrektorował nawet, w krakowskim Teatrze im. J. Słowackiego) i postanowił tę wiedzę na sposób artystyczny spożytkować. Uczciwość autora „Gałązki rozmarynu” polegała na tym, że wcale nie ukrywał braku większych literackich ambicji. Napisał po prostu, ot, „pięć obrazów z życia plutonu”. Materiał wzięty z autopsji, sam bowiem w czasie I wojny światowej, jak wielu innych, zaciągnął się do „Strzelca”, aby „robić Polskę”. Akcja sztuki obejmuje niewielki wycinek czasu, zawarty między sierpniem 1914 roku a kwietniem 1915 roku.

Powstał spektakl dogadzający upodobaniom publiczności. Jego autor zadbał o zawrotne tempo (dużo zamieszania, nonszalancki stosunek do odwiecznych zasad „skutku i przy-

czyny”), wrzucił kilka obrazków obyczajowych z życia rekrutów i mieszkańców ówczesnego dużego-malego miasteczka, podkoloryzował wszystko koszarowym dowcipem i jakby tego nie było jeszcze dosyć, wprowadził perypetie miłosne. Sztukę wypełnia tłum najrozmaitszych typów ludzkich. Oczywiście nie jest to Dostojewski, dlatego też osobowości są proste i jednostronne w konstrukcji.

Najosobliwszy wydaje się pomysł na pierwszoplanową postać spektaklu. Rzeczywisty bohater ma trochę niecodzielną, jak na nasze przyzwyczajenia — astralną formę. Jest to ów tajemniczy, a przy tym dobrze znany „ktoś”, kogo literat nie chce „za żadną cenę wymienić, (a kto) unosi się niejako ponad całą sztuką i wypełnia ją po brzegi...” Muszę jednak niektórych widzów rozczarować — nie jest to żaden seans spirytystyczny, już raczej artystyczny zabieg. Ten

o kim ciągle się mówi, nie wymieniając jego imienia, nigdy nie pojawia się na scenie, a kiedy wydaje się, że zaraz wyjrzy zza prawej kulisy — sztuka się kończy.

W pierwszym akcie oglądamy pobór rekrutów. Stają przed nami wszyscy, którym wyznaczono w tej sztuce rolę bohatera zbiorowego. Nowakowski tak wszystko wymyślił,

matorszczyzną — zamaszyste gesty, jakiś patetyczny wytrzeszcz, nieznosnie przerysowana figura Kaprała — po kilku minutach ma się dosyć.

Jednak potem naprawdę nie jest tak źle. Jeżeli przełknie się pierwszy akt, są szanse, żeby wytrwać do końca. Nieśmak po niefortunnym aktorstwie zaciera się niemalże zu-

pełnie, kiedy rozpoczyna się taki krótki seans patriotyczny. Rekruci śpiewają legionowe szlagiery (m.in. „Marsz Strzelców”, „Piechotę”) i to zadziwiająco dobrze, co jest niewątpliwie zasługą Romany Krebsówny, której powierzono kierownictwo muzyczne w tej realizacji. Swoje „recitativo” ma nawet Kapucyn Jerzy Siech L., wychodzi z tego cało. W ogóle muzyka jest tą lepszą częścią składową sztuki, chyba najdyskretniej trafia do uczuć i ukrytych sentymentów widza. (Gdyby jeszcze playbacki były technicznie lepiej nagrane...).

...A kolubryna toczy się dalej

Pełnie, kiedy rozpoczyna się taki krótki seans patriotyczny. Rekruci śpiewają legionowe szlagiery (m.in. „Marsz Strzelców”, „Piechotę”) i to zadziwiająco dobrze, co jest niewątpliwie zasługą Romany Krebsówny, której powierzono kierownictwo muzyczne w tej realizacji. Swoje „recitativo” ma nawet Kapucyn Jerzy Siech L., wychodzi z tego cało. W ogóle muzyka jest tą lepszą częścią składową sztuki, chyba najdyskretniej trafia do uczuć i ukrytych sentymentów widza. (Gdyby jeszcze playbacki były technicznie lepiej nagrane...).

Przewrotność autora i główna szarlataneria tego widowiska polega głównie na tym,

żeby nikt nie mógł się wybić. Aktorzy nie mają szans na „życiowe role”, są skazani na istnienie w epizodach. Po scenie przemyka mnóstwo postaci — jakiś niewydarzony student Iskra (Sławomir Pogawlicki (Doktor), innym tył Ławniczak) — z urodzenia komediant, z zawodu cyrulik, trójka górali spod Nowego Targu z wilczym apetytem na potyczki, jedyna w tym zestawie kobieta — ucieleśniona subtelnosc — stanitariuszka Sława (Karolina Józwiak). Gra właściwie tylko Mirosław Gawlicki (Doktor), innym tylko się wydaje, że grają. Rekruci są właściwie zainteresowani jedynie tym, żeby im spodnie nie opadły. Zionie a-

szczęśliwie do końca trzymają wszystko w garści.

Z dekoracji wynika, że scenograf Tadeusz Paul uważnie przeczytał tekst i nie wmałwia nam, że jest w nim cokolwiek więcej niż klimaty i symbole. (Uwaga: suknie z ogonami, uniformy legionów, a także inne przebrania — zaparzenicami i te mniej charakterystyczne, wyszły spod ołówka Katarzyny Żygulskiej, co odnotowuję z babską satysfakcją).

Temperaturę przedstawienia buduje kontrast. Kurtyna opada na przykład na ciemno i patriotycznie, a unosi się na ciepłą w kolorycie kawiarnię pana Słowikowskiego. I mamy

tym zrobić). Ze starej dobrej szkoły aktorskiej jest także jego klientela — cztorej staroświeccy panowie (Zbigniew Mak, Zenon Jakubiec, Tadeusz Kozłowski i Jullusz Przybylski), przedkładający nad wszystko „święty spokój” i poobiednią sjęstę. Kawiarnia jest taką małą sceną, przez którą — w postaci wyciszonej — przechodzą wszystkie wydarzenia, sprawy wielkie i małe, domowe i narodowe. A kiedy w ten mały świat wdziera się ciotka „od Stanisławowa” (Dagny Rosé), bardzo cieleśna jejmość ze swoją komiczną misją w postaci jedwabnych koszul i ciepłych kałesonów dla siostrzeńca-legionisty, no to „jest w tym magnes” —

wreszcie prawdziwe aktorstwo. Sam Słowikowski (Andrzej Karolak) to diabeł wcielony drobnymi interesów, ma spryt i maniery, o ile zupełnie nie panuje nad żoną i potomstwem (chodzą gdzie chcą i kiedy chcą), o tyle w swoim kawiarnianym rewirze jest Napoleonem sytuacji (co znaczy jednak mieć solidny warsztat aktorski i wiedzieć co z

taki prowincjonalny kolorczyk w sposobie noszenia się i w akcencie. Człowiek czuje się, jakby po ciężkiej chandrze brał ciepły prysznic.

Jak zawsze, są role i rólki. Krzysztof Ławniczak, który w I akcie gra postać Brzytwy jakąś dziwną manierą — wysuniętym do przodu torsem i nienaturalnie modulowanym głosem, ze sceny na scenę normalnie. Odzyskuje dowcip i sowobodę. Autor sztuki, żeby nam nie było nudno, wprowadza — podobnie jak w innych przypadkach spontanicznie i bez większej dbałości o uzasadnienie — wątek miłosny. Juhas — góral z przedziwnie poplątanym życiorysem, popada w silne związki uczuciowe z nieskazitelną Sławą. Widać, że trochę zdezorientowany odtwórca tej roli Paweł Korombel nie wie dokładnie, w którą stronę ma brnąć — w komedię czy w melodramat. Ostatecznie wychodzi z tego miłość w tonacji sentymentalno-detektywistycznej. Końcówka jest z happy endem, (co wrażliwsze natury mogą popłakać sobie ze szczęścia, jeżeli zdążą).

Bywa też i tak, że postać umieszczona gdzieś na peryferiach sztuki, dzięki aktorowi zostaje uratowana od nija-

kości. Dzieje się tak np. w przypadku Parzenicy, z którego Roman Nieciecki tworzy sympatyczną postać zagraną z rzadką naturalnością i swobodą. Aktor ma wyraźne zacięcie komediowe, czego nie przepagilabym na miejscu uważnych reżyserów.

Gdyby ktoś dociekał, co wykoślawia moją interpretację białostockiej wersji scenicznej „Gałązki rozmarynu”, wyjaśniam: jest to nieuleczalna jakaś niechęć do odprawiania guseł nad coraz to nowymi sarkofagami. Na szczęście autor sztuki, Zygmunt Nowakowski nie lubi tanich efektów i zamiast ciężkiej ody na cześć ducha (który to duch przeżywa obecnie swój renesans; można by rzecz całą ująć następująco: z listy lektur zakazanych został przepisany na listę lektur obowiązkowych, z wszystkimi konsekwencjami tego zabiegu), pisze, ot, taką zupełnie zwykłą, trochę zabawną, trochę unurzającą w oparach mistycyzmu „historię jednego plutonu”.

Ze względu na temat (chwytliwy), a także sposób podania (wystarczająco sprawny i lekko-strawny) — wróżę spektaklowi doraźne powodzenie u publiczności.

OLGA PACEWICZ